

Macierz Polska.

Tygodnik illustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 45.

CHICAGO, 7-go LISTOPADA (NOVEMBER 7-th), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



DLA CHCĄCEGO NIE MA NIC TRUDNEGO.

HENRYK SIENKIEWICZ.

Z podróży do Afryki.

(Ciąg dalszy).

Barwa ich zmienia się, rysunek pozostaje zawsze ten sam, i człowiek nie ma tego zadowolenia, jakiego doznaje na pełni morskiej, gdy mu myśl i oczy giną w bezbrzeżnym przestworzu i gdy go obejmie naokół nieskończoność. Tutaj wzrok się nuży jednostajnością zarysów i jakoś nam wśród tych dwóch bliskich brzegów ciasno.

Tego dnia widziałem wpaniały zachód słońca. Ożłociło się morze, ziemia i powietrze, a cały widnokrąg zdawał się płonąć. Ta niezmierna, fantastyczna powódź blasków ma w sobie coś smutnego, może z tego powodu, że rozświeca pustkowia. W chwilę później zeszedłem do sałonu i miałem wrażenie, że widzę pożar, tyle czerwonego światła wpływało przez zachodnie okna statku. Wszystko tam było czerwone, jakby od bengalskiego ognia — i obrusy, i ściany, i lustra i twarze posługaczy. Ale wszystko to trwało krótko. Mrok czynił się tak szybko, jakby ktoś ciemność przesiewał z olbrzymich sit, z nieba na ziemię. Potem niebo zgasło, morze stało się żelazne i statek zajaśniał nagle we wnętrzu elektrycznym światłem.

GÓRA SYNAJ.

Nazajutrz wypływaliśmy z zatoki na pełne morze. Po lewej stronie widać było jeszcze w świetle poranku wydłużone kształty góry Synaj. W tych stronach co nazwa, to jedna większa i bardziej pamiętna od drugiej. Człowiek tak do niej przywyka, że dziwi się w końcu, iż im się tak mało dziwi.

Góra Synaj zdawała się wychodzić wprost z morza. Stoki jej można było jeszcze mniej więcej odróżnić, ale szczyt nie bardzo zresztą wyniosły przedstawiał się raczej jak różowawy obłok, który wkrótce zaczął się zlewać z innymi i topnieć w oddaleniu.

Próbowałem fotografować ten cypel, ale byliśmy już daleko i na fotografii trudno górę od morza odróżnić.

MORZE CZERWONE.

Koło południa przepłynęły koło nas cztery statki, idące z Indyj do Suez, a pod wieczór ujrzelismy na egipskim brzegu góry Bereniki, które wydawały mi się wyższe, niż góra Synaj. Z powodu gorąca musieliśmy znów zmienić ubranie. Niebo jednak zaciągało się chmurami, i morze nabrało ołowianego koloru. Było w niem coś złowrogiego. Chwilami uciszało się zupełnie, jakby pragnęło sku-

pić się w sobie i obmyśleć coś złego. Była to próżna groźba, bo noc nastała pogodna. Jasne gwiazdy odbijały się długimi srebrnymi pasami w cichej toni. Całe niebo było niemi jakby naszyte.

Czwartego lutego statek nasz przepłynął zwrótnik Raka. Nigdy jeszcze nie byłem tak daleko. Nazajutrz mieliśmy być, według zapowiedzi kapitana w Bebel — Mandeb.

Morze czerwone jest bardzo niebezpieczne z powodu mnóstwa koralowych, podwodnych raf. W nocy ułatwiają żeglugę latarnie morskie, poustawiane na kilkadziesiąt mil na przylądkach, lub na wysepkach. Gdy patrzyłem na owe światełka, przypomniał mi się mój „Latarnik”, który był osobą rzeczywiście istniejącą. Tylko że ci ludzie, którzy tu mieszkają, są jeszcze bardziej odłączeni od świata i samotni.

Wypadki rozbicia okrętów zdarzają się często, nawet w dzień, dość na to najmniejszej nieuwagi kapitana. Natomiast Babel — Mandeb, czyli brama łoż, jak dawniej, tak i teraz jest niebezpieczną dla żaglowców, tu bowiem spotykają się wichry z pustyni i z morza Czerwonego z mussonami oceanu Indyjskiego i wzburzają wodę. Parowce jednak nic sobie z tego nie robią: wspinają się jeno z fali na falę i z większą siłą tylko maszyna pracuje. Skutki tej walki parowca ze wzburzonymi falami ponoszą zwykle pasażerowie, zapadając na morską chorobę.

Co do mnie, choć nie chorowałem, jednak nie czułem się zupełnie dobrze. Czas jakiś pozostałem na pokładzie, patrząc na ukropy morskie, rozbijające się w oddali z hukiem i wściekłością o groźne wiszary. Rozhuśtana fala uderzała czasem ciężko o bok statku, to znowu w długich odbryzgach wpadała przez poręcz na pokład, jakby chciała kogo porwać i pochłoniąć. Powietrze nasyciło się słonym pyłem. Szara pokrywa, chmur leżała nisko nad ziemią, a w tem posępnym świetle strome i dzikie wiszary wydawały się prawie czarne. Za statkiem pojawiły się znów gromady mew, obak zaś nisko, tuż nad falą, leciał długi czas jakiś niewielki ptak o pomarańczowym upierzeniu i pstrych skrzydłach. Zdaleka wyglądał jak świetny motyl.

Zeszedłem do salonu na posiłek, ale tam trudniej było wytrzymać, niż na pokładzie. Cóż bo za huśtawica była! Ściany boozne tańczą tak, że każda kolejno staje się nieledwie podłogą, to sufitem. Salon zmienia się w skutek tego w jakąś nieznaną izbę. Siedząc na przyśrubowanym krześle, czujesz się to podniesiony do góry, to ponizony. Czasem huśtawica kładzie cię mniej więcej na wznak, a stół zwiesza się nad tobą, iż zdaje ci się, że potrawy same będą ci do ust wpadały, czasem zaś ty jesteś nad stołem, a talerze, gdyby nie rama na stole, uciekłyby w przeciwną stronę. Belkowania skrzypią,

okręt drga od energicznego ruchu śruby, chwilami jęknie, jakby dostał pięścią w brzuch.

Nazajutrz zbudziliśmy się w zatoce Adeńskiej. Morze było przez cały dzień silnie wzburzone, a pokład mokry od fal. O trzeciej po południu płynęliśmy do portu Ademu.

(Ciąg dalszy nastąpi),

JÓZEF GRAJNERT.

ŻYCIE ZA WIARĘ.

Opowieść przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

Zdawało się, że po wygnaniu niespokojnego księcia Władysława z żoną i dziećmi do Niemiec, zapanuje spokój i cisza w kraju. Przewodniczący teraz braciom Bolesław Kędzierzawy, powodowany dobrocią, postanowił zdetronizowanemu Władysławowi i dzieciom jego oddać na wieczyste dziedzictwo Śląsk cały z miastami głównymi Wrocławiem, Głogowem i Raciborzem. Tak się też potem stało.

Było to w roku 1146, gdy w Azji mniejszej, w krainie Mezopotamii, gdzie rzeka Eufrat przepływa, straszne się działy rzeczy. W czasie walk króla jerozolimskiego, Baldwina III, z Mahometami, pragnącymi odebrać napowrót zawojowaną przez Krzyżowców Palestynę wraz z Jerozolimą, miasto Edessa będące w posiadaniu księcia Joscelin'a całe się we krwi skąpało. Księstwo Edesskie hołdowało królestwu Jerozolimskiemu. Otóż waleczny władca turecki Nureddyn, pan Aleppu, z dużym wojskiem napadł na warowną Edessę, wziął ją po krwawym boju i mszcząc się na mieszkańcach za to, iż dopomogli Joscelinowi do odebrania miasta, które wprawdzie zdobył ojciec Nureddyna Zenghi, okrutnie ich teraz ukarał za to odstępstwo. Wkroczywszy bowiem wśród strasznej krwi rozlewu do miasta, kazał wszystkich mieszkańców, którzy jeszcze nie padli pod krzywymi jataganami dzikiego żołnierstwa, zabrać do niewoli, a miasto zrównać z ziemią.

Wprawdzie jeszcze tegoż 1144 roku, w czasie pierwszego zdobycia przez Zenghiego Edessy, arcybiskup miejscowy poległ w czasie szturm; pozrywano wówczas krzyże, kościoły zamieniono w meczety. Teraz, na początku roku 1146, gdy książę Joscelin począł dawny ład przywracać w Edessie, spotkała ją, jak się właśnie rzekło, ostateczna zagłada.

Król jerozolimski, ucierając się gdzieindziej z Saracenami, nie mógł przyjść w porę nieszczęśliwemu miastu z pomocą.

Straszliwy los Edessy i jej mieszkańców, wołanie ze wschodu o pomoc, pobudziły zachód europejski do nowej wyprawy krzyżowej, na której czele nie rycerze i możnowładcy, ale już państwa i ich królowie mieli stanąć.

Papież Eugeniusz trzeci zażądał w piśmie do króla francuskiego Ludwika VII odebrania niewiernym księstwa Edesskiego chrześcijanom i pośpiechu z pomocą zagrożonemu królestwu Jerozolimskiemu.

W czasie tym nasz książę Henryk, pragnąc nowo zdobytą dla wiary św. duszę Zabałasa utwierdzić w wierze, oddał go na naukę do niedawno założonego klasztoru OO. Benedyktynów we wsi Tyńcu, pod Krakowem.

Był właśnie w celi szanownego i sędziwego Opaty wraz ze swym neofitą, gdy wszedł strudzony podróżą jeden z zakonników tego klasztoru ksiądz Witalis. Wracił wprost z Krakowa od czcigodnego i wysoce uczonego biskupa ks. Mateusza Cholewy, który nam właśnie kronikę w tych czasach przez się napisaną zostawił.

Ksiądz Witalis, skłoniwszy się księdzu Opatowi, przywitał obecnych pozdrowitniem w imieniu Boga, gdyż, jak wiadomo, powitanie: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" dopiero zaprowadzili u nas księża Jezuici w XVI wieku.

Gdy Ojciec Witalis zdał sprawę ze swego poselstwa ks. Opatowi, ten go zapytał:

— Cóż tam więcej słyhać na tym bożym wielkim świecie? Podobno szycują się wielkie gromy na Zachodzie dla poskromienia niewiernych?

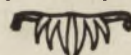
— Tak-ci jest zaiste — odrzekł zapytany — mówił ze mną o tem Jego Ekscelencya ks. Matusz i skłonił do odpisania listu Opaty Bernarda z Clairvaux, który nieustannie nawołuje wszystkich wiernych do nowej wyprawy krzyżowej, dla obrony Grobu Chrystusa Pana.

Po tych słowach wręczył ówiarstkę dużą cienkiego pergaminu księdzu Opatowi, mówiąc:

— Jestto odpis dosłowny listu świątobliwego Opaty O. Bernarda, przysłanego z Burgundyi do Jego Ekscelencyi ks. Biskupa krakowskiego.

Kopia listu była datowana z opactwa Clairveux (Klerwo) w Burgundyi, która, jak wiadomo, leży w południowo-wschodniej Francyi, tam, gdzie rzeka Rodan, Sekwana, Saona, Loara płyną, i gdzie leżą miasta Dijon, Auxerre, Macon i inne. Opat Bernard kanonizowany potem dla wielu cnót swoich żarliwością swoją w rzeczach wiary, krasomówczym zapałem, nieustannymi trudami i podniosłemi kazaniami we Francyi tyle dokazał, iż tylko jemu przypisać należy przyjsie do skutku drugiej wyprawy krzyżowej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PRZED ROKIEM, A DZIŚ.

Mała Zosia sześć lat liczy;
Czas do szkoły iść niebodze,
Mama książkę już kupiła,
Lecz się Zosia boi srodze.

Ej! bo szkoła, to nie żarty:
Trzeba w ławce cicho siedzieć,
Ni podskoczyć, ni pośpiewać,
Gdy spytają, odpowiedzieć,

I tych różnych znaczków tyle
Trzeba z książki odrysować,
I paciorek głośno mówić,
I wierszyki deklamować!

Jakże w główce jej maleńkiej
Tyle zmieści się nauki?
Zosia nigdy, nigdy pewnie
Nie dokaże takiej sztuki.

* * *

Wchodzi Zosia już do szkoły
Za innemi dziewczątkami;
Rękę matkę mocno ściska,
Oczka całe zaszyły łzami.

Widzi ławek szerek długi,
W nich dziewczątek siedzi wiele,
Wszystkie rączki założyły.
Siedzą cicho, jak w kościele.

Mama Zosię rozebrała,
Do ławeczki wprowadziła
I odeszła, — a dziewczynkę
Z dobrą Siostrą zostawiła.

Zosia boi się, truchleje,
Na drzwí klasy wciąż spogląda,
Długie chwile przeminęły,
Ona mamy swej wygląda.

* * *

Tak codzień przez rok chodziła,
Lecz coraz odważniej, śmieiej,
W szkole pilnie się uczyła,
Więc dziś umie bardzo wiele.

Z książki czyta prędko, gładko,
I literki pisze pięknie
I rachuje, piosnki śpiewa,
Przy wierszyku się nie złąknie.

Więc książeczkę tę czerwoną
Na nagrodę dziś dostanie
Za swą pilność, za uwagę,
Za swe grzeczne zachowanie.

Dziś nie boi się już szkoły,
Gdzie tak wiele skorzystała,
I powróci chętnie do niej,
Bo ją szczerze pokochała.

CYKLONY — TAJFUNY.

(Ciąg dalszy).

Woda spadała z wysokości falami, przepelniała kanały i tworzyła na ulicach potoki. Około dziesiątej deszcz ustał; sądziliśmy, że pogoda powróci. Nagle dał się słyszeć gzmot. Szerokie błyskawice w dwóch kierunkach przerzynały przestrzeń. Na miasto rucił się huragan. Służący murzyni zamknęli okiennice domu i zapalono lampy. Wiatr gwizdał, gromy powtarzały się w odstępach równych, i zawsze po trzy na raz; jeden z nich zdawał się popychać dwa inne i znacznie silniejszy, wydłużał się z łoskotem fali. Czuło się, że cały dom drży. Deszcz zmienił swój wygląd: nie były to już kaskady wody, lecz tylko pyłek rzęśisty, podobny do mgły. Gdy wiatr morski przechodził,



CYKLON NA MORZU.

zmiatając to, co napotykał na drodze, widziano fale deszczu, rozpięchające się w wirowym ruchu.

„Patrzyliśmy przez szpary okienic. Pośród obfitej roślinności zwrotnikowej wiatr pracował jak kosa. Drzewa kokosowe naszego ogrodu zwieszały wokoło zniszczonego pnia swoje wspaniałe korony palmowe. Nagle nastał spokój tak zupełny, tak głęboki, że aż przerażający. Grobowe milczenie otoczyło wszystko. Po chwili powietrze zaczęło powoli wirować, podnosząc się coraz wyżej i tworząc niby wielką tubę. Korzystając ze spokoju, wyszliśmy z domu. Ogród był zniszczony zupełnie, potykaliśmy się na każdym kroku; straszliwa siekiera nagromadziła na ziemi stosy gałęzi. Dachówki, deski tarzały się w zielonawym błocie.

„Nasze twarze zdawały się bezkrwiste. Mieliśmy wrażenie, jakby duszność chwytła nas za gardła. Cisza trwała około trzech kwadransy. Na gle dreszcz przebiegł przestrzeń, coś jakby długie westchnienie. Natura czuła zbliżenie nieprzyjaciela i skarżyła się. Były dwa drżenia podobne. „Powra-

cajmy, powracajmy szybko! — zawołał jeden z murzynów. A był czas najwyższy ku temu. Wiatr morski naddbiegał. Nie rozróżniano już odgłosu wiatru od huku piorunów.

„Na środku szerokie schody drewniane prowadziły na piętro. Schroniliśmy się wszyscy w klatkę schodowej. Przerazenie dzieci było straszne. Nasz piękny i trwałe domek trzeszczał pod naciskiem huraganu. Piorunujący wiatr morski ogłuszał nas kompletnie, dom zdawał się rozpadać na dwoje, gdy przeraźliwe wstrząśnienie rzuciło nas w zamieszaniu jednych na drugich. Myślałam, że śmierć się przybliży, i zamknęłam oczy. Gdy je otworzyłam, spostrzegłam widok przerażający. Główna fa-

wrócone i, podtrzymując je z całych sił, utworzyli rodzaj tarczy, ażeby nas zasłonić. Usłyszeliśmy nowe trzeszczenie i pojęliśmy, że cały dom rozpada się na części. Wkrótce wicher, podobny do wystrzału armatniego, utworzył otwór wprost naszych schodów. Wszyscyśmy musieli stracić przytomność. Groza tej chwili odjęła nam jasne pojęcie rzeczy. Jak długo trwała ta nowa szalona burza? Prawie dwie godziny. Co znaczą dwie godziny, spędzone w takim przerażeniu, łatwo odgadnąć.

Nakoniec, gdy huragan zmniejszył swą gwałtowność, mowa nam wróciła. Znaleźliśmy się wśród głębokiej ciemności.

„Która godzina może być?” — zapytało któ-



CYKLON NA SAHARZE. (Trąby p wietrzne).

sada naszego domu runęła, galerya, tworząca połowę piętra, padając, zgmiotła część parteru. Ponad szczątkami temi rozwarł się dach, i na sinem niebie widziałam przelatujące kulki ogniste. Cudownym sposobem nikt nie był ranny.

„Nie można było porozumieć się, tak potężnie wył wicher. Ściskano sobie ręce w ciemności. Dzieci już nie płakały, nie ruszały się nawet. Murzyni powtarzali urywane wyrazy: „Dobry Boże, dobry Boże, koniec świata”! Wiatr morski, wschodząc teraz przez olbrzymią szczelinę, zmiatał klatkę schodową. Gałązki, szczepy drzewa, szkło uderzały nas po twarzach. Deszcz ciął, jak grad. Służący zaczęli się na kolanach, schwycili drzwi prze-

reś z nas. — „Wpół do szóstej” — odrzekł jakiś głos. Spojrzałam na zegarek; rozszalała wskazówka w minutę obiegała cały cyferblat. W czasie cyklonu wiele osób zauważyło podobne zjawisko, wynikłe bez wątpienia ze znacznego nagromadzenia elektryczności w powiatrze.

Napróżno starano się zapalić świecę, trzeba było się pogodzić z ciemnością. Byliśmy wyczerpani, zgłodnieli; po omacku spożyliśmy trochę zapasów, jakie wzięliśmy do swego schronienia. Zęby nam szczękały, ubranie podarte było przesiąknięte deszczem.

Dokończenie nastąpi.

Znakomita Japonka.

Wielki wódz japoński, marszałek Oyama, posiada w małżonce swej idealną towarzyszkę życia; oboje stanowią bardzo miłą parę ludzi: niema śladu w nich pychy lub zarozumiałości, są skromni i posiadają jakiś dziwnie pociągający urok.

Jednej z Francuzek, która chciała uzyskać audyencyę, pani Oyama odpowiedziała:

— Proszę, niech pani odwiedzi mnie kiedykolwiek rano, przekonam się, czy nie zapomniałam mówić po francusku.

Cudzoziemka skorzystała, ma się rozumieć, jak najprędzej z miłego zaproszenia. Zastała marszałkowską w uroczem i eleganckiem zacisku domowem, gdzie życie jej upływa wśród zajęć gospodarskich i dobroczynnych; ostatnim szczególnie oddaje się z nieustającym nigdy zapałem.

— Jak zdrowie pani, droga moja? — zapytuje pani Oyama nowoprzybyłą i z tem serdecznem pytaniem wyciąga do niej swe drobne ręce, ginące prawie w fałdach obszernego, haftowanego jedwabiem kimono.

Marszałkowa Oyama przewyższa wzrostem ogół rodaczek, jest szczupłą i zgrabną. Widząc ją przebiegającą rozległe trawniki swego ogrodu lub grającą w lawn-tennis, zapomina się, że bliżej jej już do pięćdziesiątki niż do czterdziestki, tak jej ruchy są zwinne i młode. Stosunkowo nie o wiele starszej wygląda od swej córki dziewiętnastoletniej panny, zwanej powszechnie „Lady Iris” dla jej urody.

Marszałkowa Oyama mówi po angielsku bardzo poprawnie, w czem niema nic dziwnego, jest bowiem wychowaną sławnego uniwersytetu amerykańskiego w Vassar. Pomimo to nie zmieniła narodowego kimono i drewnianych sandałów na suknie i obuwie europejskie, przywdziewa zawsze i wszędzie strój narodowy. Widząc ją trudno rzeczywiście wystawić sobie, że jest zapaloną zwolenniczką postępu, śledzącą uważnie, co się robi, myśli i pisze w wielkich stolicach Europy.

Jeden tylko szczegół mógłby wyprowadzić z błędu: marszałkowa Oyama jest jedyna, jak mówią, Japonką, która karbuje włosy na wzór europejski. Jest to moda warta naśladowania przez elegantki państwa wschodzącego słońca, ukrywa bowiem zbyt długą długość japońskiej twarzy i zbyt wielką odległość brwi od oczu.

Pani Oyama martwi się, że jej córka zachowuje dotąd narodowe piętrowe uczesanie. „Lady Iris” rzeczywiście spędza codziennie kilka przykrych godzin w towarzystwie swej fryzjerki, srogiej Kamiyni, jak ją tam nazywają.

Marszałkowa zaś, znająca wartość czasu, daje swej pannie służącej, Angielce, tylko 10 minut dziennie na wykonanie tej samej czynności. Dzię-

ki swemu europejskiemu wykształceniu rozumie doskonale, jak źle robią Japonki, tracąc połowę życia na trefienie włosów. Utrzymuje nawet, może nie bez racji, że postęp w Japonii rozpoczął się od dnia, w którym cesarz rozkazał swym poddanym golić głowy i powiada, że jej rodaczki dopóty nie przestaną być wdzięcznymi wprawdzie, ale pustemi laleczkami, dopóki nie nauczą się pleść same swoich warkoczy.

Trzeba wiedzieć, że misterne fryzury na głowach Japonek wymagają wielu rozmaitych starań: muszą one spać z karkiem opartym na drewnianej podstawie, a głową zwieszoną, muszą uważać na swe ruchy, nie chodzić zbyt szybko itp. Mody te i zwyczaje dobre były w czasach dawnych Samurajów i ustroju dawnego, kiedy marszałkowa Oyama nazywała się jeszcze O-Stematz-San.

Warto poznać historię życia żony wielkiego wodza, zwycięzcy z pod Mukdenu, i dowiedzieć się w jak niezwykłych okolicznościach poznała swego męża.

Urodzona około r. 1858, miała lat dziewięć, gdy wybuchła w Japonii wielka rewolucya, której celem było oddanie mikadom władzy, zabranej im przed wiekami przez „Shogunów”, czyli naczelników dzielnic, którzy z biegiem czasu zagarnęli zarząd całym państwem. Ojciec O-Stematz-San, wasal księcia Aidzu, stanął wraz z tym ostatnim po stronie ówczesnego Shoguna. Rodzina jego przeżyła straszne chwile wciągu dwu krwawych lat wojny, która zakończyła się zupełną klęską stronników Shogunów, wyrzniętych pod murami Kioto przez wojska mikada.

Uciekający schronili się do swoich zamków obronnych, gdzie oddawna już ukryli swe rodziny. W niedostępnych tych prawie fortecach bronili się jeszcze z odwagą i energią rozpacz.

Księżę Aidzu z garstką wiernych mu Samurajów schronił się do pałacu Wakamatsu. Tam to, w tej starożytnej twierdzy, wznoszącej się w okolicy górzystej, dzikiej, zimnej i nieurodzajnej, u podnóża straszego wulkanu Banai, O-Stematz-San, jej matka i jej siostry przeżyły długie miesiące tęsknoty i niepokoju, oczekując bezustannie, czy nie biegnie okryty pyłem posłaniec z wieścią o zwycięstwie tych, których kochały... i wdychały do chwili, w których powrócą znowu do Kioto, na dwór Shoguna. Nie wesołych jednak doczekały się wieści: pewnego poranku ujrzały w dali zbiegów, a tymi zbiegami byli stronnicy księcia Aidzu.

Dokończenie nastąpi.



DLA CHCĄCEGO NIEMA NIC TRUDNEGO.

Siedmioletni Karolek siedzi przy stole i bawi się. Po raz dziesiąty próbuje on zbudować z tektury dach kościoła, bo już dziewięć razy rozlepił mu się cały, ale Karolek tem się nie zraża.

— Marcinek skleił z tekturki ładny kościół — mówi — to chyba i ja to potrafię, spróbuję raz jeszcze.

W tym czasie siostra jego, Helenka, przerażona zadaniem arytmetycznym, pracując nad niem gorliwie. Także zaczynała ze szcść razy tę samą robotę, aż nareszcie rozwiązała zagadnienie. Przedtem kilka razy przerywała rachunek i odkładała pióro.

— Nie mogę tego zrobić — mówiła.

Słyszac to matka, powiedziała:

— Jestem pewna, że możesz więcej dokonać, niż sądzisz. Próbuuj, staraj się, a cel osiągniesz. „Nie odrazu Kraków zbudowano”.

I matka miała słuszość, a Helenka po skończeniu roboty zawołała:

— Jednak to trudna robota! O, jakże chciałybyśmy tyle umieć, co moja Siostra nauczycielka, wówczas nie męczyłabym się tak nad każdym zadaniem.

— Ja również życzyłabym sobie tego — rzekła matka — ale postępuj tak, jak czyniła twoja Siostra nauczycielka. Uczyla się długo i wytrwale, powtarzając to samo, dopóki nie doszła do zupełnej dokładności i wprawy.

— Będę się starała, mamusiu — rzekła Helenka — muszę dojść i do tego!

— Już teraz nigdy nie będziesz narzekała, że ci to lub owo idzie za trudno?

— Nie mamusiu, będę próbowała, jak teraz. To tak przyjemnie, kiedy się jakąś trudność pokona!

— Masz słuszość, Helenko — zawołał Karolek — widzisz, póty pracowałem, póki nie postawiłem wspianego kościoła.

— Bardzo ładnie, Karolku — rzekła mama — ucz się, a może zostaniesz kiedy budowniczym i będziesz stawiał prawdziwe domy i kościoły.

Rade z siebie dzieci zanuciły piosnkę, której niedawno się nauczyły w szkole:

Co mi tam za pole, kiedy nie zorane?

Co mi to za życie, kiedy spróżnowane?

Z próżnującej roli tylko oset wschodzi;

Wszystko złe na świecie z próżniactwa się rodzi

WIENIEC KWIATÓW.

Pewien czcigodny, ośmdziesiątletni staruszek obchodził swoje urodziny. Zebrały się wszystkie już dorosłe dzieci jego, otoczyły go kołem, całowały po rękach i życzyły mu szczęścia, ocierając łzy radości,

że Bóg pozwolił doczekać się tak sędziwych lat, a cieszyć się dobrem zdrowiem. Wnuczęta, składając mu wieniec z róż, lilij i rezedy, wygłaszając kruciutki, ale rzewne powinszowania wierszykami.

Babcia, która także obecną była, odezwała się do wnucząt: „Wieniec z róż, lilij i rezedy jest bardzo symbolicznie ułożony: kwiaty te z myślą dobierane były, nieprawdaż?” Róże z liliami przedstawiają dziadunia waszego, który przy białych, jak śnieg włosach, tak różowe zachował policzki — stąd radość wasza, a rezeda, ten skromny, a taką warmówi o cichych jego cnotach, jakimi życie całe jaśnia. Teraz największą dziadunia radością są dzieci i wnuki jego, dlatego pragnie, abyście tak pięknymi byli, jak te róże, niewinnymi, jak lilijki, a bogatymi w cnoty ciche, jak rezeda.”

Dziadunio, do łez podarkiem i życzeniami wrzuszony, przemówił:

„Ażeby wasi rodzice i dziadkowie zawsze taką radość, jak ja dzisiaj mieli, każę ten wieniec odmalować, a w środku dużemi, złotemi literami wypisać każde słowo, które każde dziecko w serduszkach swych zapisać powinno.

Bierz twe pragnienia od lilij kwiatu,
Przystrój swe życie w niewinności szaty,
W cichości nieś ulgę twojemu bratu,
A licać skraszają rumieńców szkarłaty.

CO NAM ZEGAR PRZYPOMINA?

Zegar dzieciom przypomina,
Że są starsze co godzina,
Tyk-tak! pamiętajcie przecie,
Że niedługo urosniecie.

Tyk-tak, tyk-tak! hej, dziateczki,
Bierzcie-że się do książeczki!
Kto nie uczy się za młodu,
Ten na starość zazna głodu.

Czas to pieniądz! pieniądz złoty!
Kto go straci, ma zgryzoty:
Choć żałuje, choć się smuci,
Dobra chwila już nie wróci.

Czas jak strzała, prędko leci,
Korzystajcie z niego dzieci,
Drogim skarbem jest godzina:



MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia.

Adres redakcji: **MACIERZ POLSKA,**
51 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOISPrenumerata roczna wynosi \$1.00. — Pojedynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ctAdres administracji: **MACIERZ POLSKA,**
141-143 W. DIVISION STREET, CHICAGO, ILL.**MACIERZ POLSKA**AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE
Issued at Chicago every Thursday.Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**
51 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 3 cents

Address of Business Office:

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA

141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS

ROZMAITOŚCI.**Nowe znaczki pocztowe międzynarodowe.**

Z dniem 1 zm. weszło w użycie nowe i ważne prawo pocztowe dotyczące listów zagranicznych. Według nowego prawa za jedną uncję opłacać się będzie 5c i 3c za każdą następną część uncji. Dotąd trzeba było opłacać za ½ uncji 5 centów i 5c za każde następne ½ uncji, lub część jej. Nadto wprowadzono nowość w znaczkach pocztowych, mianowicie zaprowadzono międzynarodowe znaczki na odpowiedź, które kosztują 6c. Chcąc więc nap. opłacić odpowiedź na list z kraju, kupuje się taki znaczek za 6c załącza w liście i wysyła do adresanta. Adresant na pierwszej lepszej poczcie w kraju wymienia ten znaczek na krajowy i wysyła list. Nowe znaczki mają jeszcze i tę dogodność, że można nimi przysyłać mniejsze kwoty pieniężne, jak to się dzieje w kraju.

Nowe statki podróżnicze.

Dla pewnej europejskiej kompanii okrętowej budują obecnie 5 nowych statków podróżniczych. Każdy z nich ma długości 500 stóp i będzie zaopatrzony we wszelkie możliwe wygody dla podróżnych. Statki te objeżdżać będą całą kulę ziemską w przeciągu 240 dni. Podróż rozpoczyna się w Antwerpii, skąd okręty będą wypływały, następnie popłyną do Singapore, do Chin, Japonii przez Śródziemne morze i Kanał Sueski. Z Japonii statki skierują się do Honolulu, następnie do San Fran-

cisco, skąd opłyną całą południową Amerykę, zatrzymają się w Montevideo i stamtąd udadzą się do miejsca wyjścia, Antwerpii. W ten sposób, komu posłużą środki, może bardzo wygodnie zwiedzić wszystkie morza i ważniejsze porty na kuli ziemskiej. Dotąd towarzystwo posiada już dwa takie podróżnicze parowce.

Mapy dla automobilów.

Automobiliści w podróżach swoich, zwłaszcza w kraju, gdzie jest dużo dróg, często zmuszeni są posługiwać się mapami, aby nie zbłądzić. Aby ułatwić oryentowanie się na drogach, zaopatrzone automobile we Francji w automatyczne mapy dróg. Mapa umieszczona jest na przodzie samochodu w ten sposób, że kierujący zawsze ją ma przed oczami i z łatwością może obserwować drogę, po której jedzie.

Na trzysta jardów przed skretem drogi dzwonek automatycznie daje znać o tem, inny zaś przyrząd wskazuje długość przebytej drogi. Cały przyrząd połączony i wprowadzony jest w ruch przez obrót kół samochodu.

Towarzystwo czystych rąk.

Pewna podróżniczka, po powrocie z Anglii, opowiada fakt następujący:

Na jednej z ulic Londynu spostrzegła dzieci, wychodzące ze szkoły. Przystanęła, aby się im przyjrzeć i zobaczyła, że jakaś pani, stojąca przy bramie, coś dzieciom rozdaje. Zbliżyła się i ujrzała, że dzieci pokazują owej pani ręce, ona je ogląda i tym, które mają czyste, daje z koszyka drobne zabawki, notesiki, scyzoryki itp. Które zaś miało palce choćby atramentem pobrudzone, nie dostawało.

Gdy dzieci przeszły, podróżniczka wdała się w rozmowę z ową panią i dowiedziała się, że jest ona członkiem „Towarzystwa czystych rąk”, które w taki sposób krzewi wśród dziatwy czystość. Jest delegatką od sześciu szkółek. Raz na tydzień zjawia się przed każdą szkołą z koszyczkiem, zawierającym podarki. Dzieci nie wiedzą, którego dnia pani przybędzie, więc starają się codziennie ręce utrzymywać w czystości.

— Towarzystwo nasze — tłumaczyła delegatka — wychodzi z zasady, że czystość rąk, to rzecz w zakresie higieny ciała najważniejsza, skłania do dbania o czystość całej osoby i otoczenia, więc, choć w skromnym zakresie, racjonalnie i celowo krzewi wśród naszego społeczeństwa rzecz pożyteczną i niezbędną. Zawartość jednorazowa koszyka kosztuje nas około 2 szylingów, czyli na jedną szkołę rocznie około 4 funt. szterl. Za tę sumę i pół godziny



NOWY KOŚCIOŁ POLSKI ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA W SOUTH CHICAGO.

lekkiej pracy, poświęconej kilkudziesięciu niezamężnym dzieciom, osiągamy stosunkowo wiele dobrego. Składka członkowska kosztuje... 2 szylingi rocznie.

Delegatka wyjaśniła dalej, że jest starszą sklepową, i że Towarzystwo wyrobiło jej urlop półgodziny dziennie na owo rozdawnictwo.

Podróżniczka opowiadała dalej o jeszcze ciekawszej czynności Towarzystwa.

Przed ubogim domem zatrzymuje się powóz, wysiada pani, trzymając w ręku coś jakby biały welon i młoteczek, i wchodzi do bramy. Po dziesięciu minutach wraca bez owego welonu, wsiada do powozu i odjeżdża.

Pani ta — to czynny członek „Towarzystwa białych firanek”. Ma swoje 2 — 3 ulc. Wyszukuje najuboższ domostwa, wchodzi i prosi grzecznie o pozwolenie zawieszenia firaneczek. Czasem nie pozwolą, ale najczęściej zgadzają się. Wtedy delegatka na poczekaniu przybija firaneczki i jedzie dalej.

Podobno w ubogich mieszkaniach, gdzie najczęściej promień słońca nie dochodzi, gdzie zawsze jest szaro, ponuro i smutno, tam takie białe firaneczki zachęcają ogromnie mieszkańców, zwłaszcza kobiety, do dalszego porządku w mieszkaniu. Czyśtość przenosi się z okna na stół, ze stołu na łóżko, z łóżka na podłogę. Zresztą po dwóch tygodniach owa pani znowu przyjeżdża, zdejmując brudne firanki, a zawiesza czyste. Bywa różnie, bo czasami niedbali i niechłujni ludzie drą i wyrzucają firanki, ale to pań z Towarzystwa nie zraża.

O CHŁOPCZYKU, KTÓRY CHCIAŁ POŻYCZYĆ SOBIE ANIOŁA STRÓŻA.

Z życia J. I. Kraszewskiego.

— Dzieciatko! trzeba uklęknąć, rączki złożyć i zmówić pięknie wieczorny paciorek — upominała prababcia Józia, który w ubraniu położył się na łóżeczku.

— Prababcu! mnie się tak spać chce — mówił sennym głosem Józio — i dodał tonem prośby: Pozwól, już dzisiaj nie będę mówił pacierza!

— Nie można iść spać bez pacierza — odpowiedziała prababcia.

— Dlaczego? — pytał malec.

— Bo jeśli pójdziesz spać bez pacierza, to Anioł stróż pogniewa się i odejdzie od twego łóżeczka.

— To poproś prababcu twego Anioła Stróża, aby mnie pilnował — przecie łóżeczko moje stoi blisko twego — poprosisz?

— Nie mogę! dziecino, nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo takiej prośby mój Anioł Stróż nie wysłucha.

— Wysłucha, zobaczysz, że wysłucha! — mówił Józio. Jakżeby nie miał wysłuchać takiej dobrej prababci.

Prababcia zaprzeczyła ruchem głowy.

— Mój Anioł mnie nie posłucha, bo gdy dziecko zrobi co złego i odejdzie od niego Anioł Stróż Anioł opiekować się nie zechce.

dany od Boga, to już niegrzecznikiem żaden inny O Chłopczyku który chciał zamie 2

— Doprawdy, prababcu? — zawołał Józio, otwierając szeroko oczy i klękając do pacierza.

Tak się chłopczyzna przestraszył, aby go nie opuścili aniołowe, że rozbudził się zupełnie i pięknie głośno i wyraźnie pacierz odmówił, poczem powiedział prababuni dobranoc, usnął spokojnie, bo wiedział, że już teraz go Anioł Stróż nie opuści.

Na drugi raz już nawet nie próbował pożyczyć sobie od prababuni Anioła Stróża.

Mały Józio jest wielkim urwiszem! Patrząc! oto wszedł na kłąb kwitnących lewkonij i nielitościwie wywijając drewnianą szabelką, łamie pęki wonnych kwiatów.

— A, niedobry psotniku. — woła prababcia, ujrzawszy Józia w tym zapale i pochyliła się ku ziemi, aby zbierać śliczne połamane kwiaty. No, gdybym Tatara wpuściła do mego ogrodu, nie mógłby mi większej narobić szkody — rzekła po chwili.

Józio spostrzegłszy, jaką przykrość zrobił prababci swoją psotą, rozplakał się szczerze. Wczoraj właśnie opowiadał mu dziadzio, jak to polscy wojownicy potykali się dzielnie z dziczą tatarską, on też chciał naśladować naddziadów: wyobraził sobie, że kłąb z lewkoniami, to Tatarzy, a on sam jeden ma zwyciężyć całą hordę! Rad był ze swego czynu — dopiero gdy prababcia jego samego porównała właśnie z Tataram, przekonał się, że źle zrobił.

Podczas gdy Józio płakał nad swoją bezmyślną psotą, prababunia zbierała starannie połamane kwiaty i mówiła do wnuka:

— A nie widziałeś to, ile natrudzić się trzeba, nim wyrosną kwiaty? Trzeba ziemię kopać, nawozić, polewać, kwiaty sadzić, a potem plewić starannie. Ale taki psotnik, dla swojej zabawy, ani cudzej pracy nie poszanuje, ani się nie zastanowi nad tem, że może zrobić komu wielką przykrość.

To rzekłszy, zabrała wszystkie połamane kwiaty i odeszła, nie spojrzawszy nawet na zapłakanego i żalującego po niewczasie małego winowajcę. — „Widać musi się bardzo gniewać na mnie!” — myślał ze smutkiem Józio.

Po krótkiej chwili prababunia wchodzi znowu do ogrodu, idzie prosto do Józia — na twarzy niema śladu gniewu, owszem, zdobi ją uśmiech łagodny, wyciąga do prawnuka rękę, a w ręce tej podaje mu smażoną w miodzie gruszkę, jakie Józio bardzo lubi.

W oczach zapłakanego malca miejsce smutku zastąpiło zdziwienie: Wszakże przed chwilą zrobił prababuni wielką przykrość, a ona przychodzi do niego z przysmaczkiem?

Prababunia dostrzegła zdziwienie malującego się tak wyraźnie na twarzy malca, zachęciła więc oniesmielone dziecko do wzięcia przysmaczku i rzekła:

— Zapamiętaj sobie na całe życie, że za złe, należy zawsze płacić dobrem!

Tej nauki prababci nie zapomniął nigdy nasz mały Józio.

Prababunia uczyła Józia nietylko pobożności i cnót chrześcijańskich, ona to wyuczyła go także czytać i pisać.

Dziewięcioletniego oddali go rodzice do szkoły.

Przypatrzmy mu się podczas egzaminu. Sala szkolna w dniu tym wygląda uroczyście, ustrojona w zieleń, wśród której rumiane buzie studentów w barwnych sukienkach wyglądają, jak kwiatki. Chłopcy podnoszą do góry głowy, nadstawiają uszu, bo oto panowie profesorowie odczytują po kolei kwalifikację — słuchają jej z wytężoną uwagą rodzice i opiekunowie.

Jakaż to chwila uroczysta! wymieniają właśnie uczniów, którzy zasłużyli na nagrody.

Józio spodziewał się nagrody i wyczekiwał jej niecierpliwie, gdy jednak swego nazwiska między nagrodzonymi nie usłyszał. Wpadł w taki gniew, że powstawszy z ławki, rzucił o ziemię zeszyty i książki i wybiegł ze sali egzaminacyjnej.

Możecie wyobrazić sobie, jakie przykre wrażenie zrobiło na wszystkich obecnych takie postąpienie Józia, jak bolesnego uczucia doznał ojciec jego na widok karygodnego postępków gwałtownego malca!

Józio wybiegłszy z sali, ochłoniął z gniewu, po czasie przyszło zastanowienie i wtedy przeraził się swoim czynem.

— Jakże niemądrze, jak brzydko postąpiłem! co za wstyd! czyż potrafię teraz ludziom spojrzeć w oczy?

Józio ciężko odpokutował swoje uniesienie i długi czas potem nie śmiał starszym spojrzeć w oczy. Wstyd doznany posłużył jednak na dobre chłopcu w przyszłości. Rozważył przez wakacje, że chcąc dostać nagrodę, należy usilnie pracować, a nie dąsać się na starszych.

Od tego czasu uczył się bardzo pilnie, bardzo uważnie, to też odtąd każdego już roku aż do skończenia gimnazjum, przynosił zasłużone nagrody.

Z małego, gwałtownego i nierozważnego Józia, gdy się poprawił i nie ustawał w ciągłej nad sobą i w kształceniu swego umysłu pracy, wyrósł za łaską Bożą wielki człowiek, pierwszorzędny polski powieściopisarz, Józef Ignacy Kraszewski.

Mieczysława Ślęczkowska.

NIE BIERZ SZPILKI DO UST.

Helenka lubi bardzo robótki ręczne i zajmuje się nimi chętnie w czasie wolnym od nauki. Siada przy swej mamie i rozkłada pudełko z przyborami do szycia. Są tam małe nożyczki, srebrny naparstek, nici, igły różnej wielkości i grubości, tasiemki i wstążeczki.

Helenka jest zręczna i wprawna do szycia, ale ma to złe przyzwyczajenie, że często bierze do ust igłę, gdy już jej nie potrzebuje, albo szpilkę, mającą służyć do przypięcia roboty.

Posłuchajcie, jakie nieszczęście raz z tego wynikło!

Helenka trzymała szpilkę w ustach, gdy brat jej wbiegł do pokoju z jakimś zapytaniem. Helenka odpowiedziała mu, nie wyjąwszy z ust szpilki;



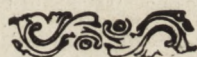
ale w tej chwili ta wsunęła się w usta i dostała do gardła nieostrożnej dziewczynki. Z przestachu i bólu Helenka krzyknęła głośno.

Na szczęście ojciec jej jest lekarzem i był wtedy w domu.

Usłyszawszy krzyk, wszedł do pokoju i za pomocą szczypców wydobyl szpilkę z gardła, lecz z wielkim trudem i z wielkim bólem Helenki. Całe usta miała pełne krwi; rana zagoiła się zaledwi w dwa tygodnie.

Gdyby szpilka poszła jeszcze głębiej, Helenka mogłaby przypłacić życiem swoją nieostrożność.

Pamiętajcie o tem, dziewczynki, i strzeżcie się brać do ust igły i szpilki!



➡ BEZ RODZINY. ⬅

WEDŁUG POWIEŚCI

H. MALOTA.

Ciąg dalszy.

— Nie mogę pozwolić na to, żebyś szedł tak prędko, — rzekł wreszcie biorąc mnie za rękę. — Gdybyśmy chcieli iść tak szybko, jak ty, tobyśmy nawet połowy tej drogi nie zrobili, jaką mamy do przebycia. Spójrz Remi, nawet psy rozumieją to doskonale i postępują poważnie, jak na rozsądne zwierzęta przystoi.

Rzeczywiście nie widziałem nigdy psów idących tak pomału, a przytem trzymających się jeden przy drugim i nie zbaczających z szeregu ani na krok jeden, niby trzech doskonale wyćwiczonych żołnierzy.

Co prawda, moja w tem wina — mówił Witalis. — Żem ci w naszym wojsku nie wyznaczył odpowiedniego stanowiska. Bo trzeba ci wiedzieć, że masz przed sobą oddział piechoty. Ci trzej, to szeregowcy — rzekł, wskazując na psy — dobosza piastują na piersiach, bo to delikacik z zamorskich ciepłych krajów, nie znoszący naszych zimnych wieczorów i ranków.

Gdy to mówił, z pod płaszcza wysunął się zadarty nosek i figlarne oczy Frygi.

— A do budy! chcesz znowu nabawić się kataru! — krzyknął Witalis, dając lekkiego psztyczka w wysunięty nosek Frygi.

Łebek małpki znikł natychmiast pod szerokim płaszczem Witalisa, a on ciągnął dalej:

— Sam chyba domyślasz się, że ja jestem głównym dowódcą oddziału. Utrzymuje porządek, karność, nagradzam za wierną służbę, a karzę za zaniedbywanie się, za lenistwo. Za dawnych, lepszych czasów dowodziło się ludźmi, a dzisiaj!...

Tu Witalis urwał i daremnie dnia tego oczekiwałem na nominację w tem dziwnym wojsku. Nasz dowódca, zdawało się, że zupełnie zapomniał o żołnierzach, bo wzrokiem wodził daleko po błoniach i głową kiwał jednostajnie, niby potakując tym myślom, w których zagłębił się, zapominając o wszystkim, co go otaczało.

A ja tymczasem myślą wyprzedzałem nasze kroki i byłem już we wsi naszej, u nóg matki. Jakże się ona ucieszy, gdy mnie ujrzy, wchodzącego niespodzianie do chaty. Byłe tylko Witalis prowadził nas przez wieś, bo była tam i inna droga, prowadząca przez górę, otaczającą sioło.

W miejscach, gdzie krzyżowały się drogi, psy stawały, czekając na rozkaz pana. Witalis wówczas wskazywał drogę ręką, a psy szły we wskazanym kierunku. Gdy doszliśmy do miejsca, przy którym krzyżowały się drogi, a psy stanęły, oddech zamarł mi w piersiach, z takim niepokojem oczekiwałem na rozkaz Witalisa.

— Na lewo, z prawej nogi marsz! — rozległ się głos komendy. Smutno zwiesiłem głowę na piersi, bo dla mnie ten rozkaz znaczył tyle, co wyrazy: nie uściskasz już na pożegnanie ukochanej matki, nie wejdiesz ani do wioski, w której się wychowałeś, ani do domu, który uważałeś za swój dach rodziny, nie ujrzyś towarzyszy, z którymi razem rosłeś, bawiłeś się i płakałeś!...

Z drogi bocznej, którą szliśmy obecnie, widać było wieś z daleka. Znając tę drogę od dawna, wiedziałem, że za górą, którą mieliśmy właśnie przebywać, zniknie ona nam z oczu zupełnie. Na szczęście wejście było przykre, szliśmy więc pomału, ale nareszcie znaleźliśmy się na miejscu najwyższym. Stąd wieś rozpościerała się przed nami, jak na dłoni.

— Czy pozwoli mi pan odpocząć chwilkę? — zapytałem nieśmiało Witalisa.

— Dobrze, i ja chętnie usiądę! — odrzekł stary.

Usiadłszy na murawie, zwróciłem przysłonięte łzami oczy tam, gdzie się znajdowała nasza chatka. Odnaleźć ją było bardzo łatwo, bo stała przy końcu wioski. W tej chwili właśnie szary, prosty słup dymu unosił się z komina ku górze, a potem wiatr wiosenny rozbijał go na mniejsze strzępy i gnał w naszą stronę. Oddychałem znowu zapachem z tego dymu z jałowcu, którym paliliśmy w chacie przez całą zimę i zdawało mi się, że siedzę jeszcze skulony na ławie przy piecu, a wiatr huczy w kominie i na izbę nam wyrzuca popiół i kłęby dymu. Pomimo znacznej odległości, widziałem wszystko, tylko każda rzecz wydawała mi się znacznie mniejszą.

Na płocie naprzykład stała kura, ostatnia, jaka nam została, gdybym nie znał jej doskonale, mógłbym ją wziąć za niedorosłego gołębia, tak zdawała się stąd małą. U wrót sterczała złamana grusza. Na sękach jej siadywałem wierzchem, po parę razy dziennie. Dalej płynęła struga. O, niedobra, ileż mi ona razy narobiła szkody! Chciałem na niej wybudować młyn, a ona tymczasem zamiast mi obracać koło, uniosła mi hen! daleko cały dudynek, uklecony ze ślicznie kozikiem wystruganych deszczek. A ogród mój mały! któż go teraz będzie doglądał? kto w nim zasadzi kapustę, ogórki, marchew? Kto go opiele i podleje? Nagle, ktoś posunął się do chaty wzdłuż podwórka.

Rogaty czepek, niby biały motyl, miga między gałęziami... Zniknął za węgiem chaty i znów się pokazał. To ona, to moja matka!

— No chodźmy już, mój chłopcze! — nagle zawołał Witalis.

— O, proszę pana, jeszcze chwilkę! — prosiłem usilnie.

Zapatrzony w jeden punkt, nic nie odpowiedziałem. Tym punktem była moja matka — poznałem

jej biały czepek i szeroką niebieską spódnicę. W tej chwili wychodzi za furtkę i spogląda na drogę, kogoś miałaby wyglądać, kogo oczekiwać, jeżeli nie mnie?

— Mamo, mamo! — zaczynam krzyczeć z całych sił, zrywam się z miejsca i biegnę z góry.

— Kapi, Zerbina, Dolcze! — rozlega się za mną głos Witalisa i natychmiast zostaje otoczony psiami mordkami, które mi ostre pokazują zęby.

Musiałem się zatrzymać, ale za to rękami dawałem znaki i krzyczałem rozpaczliwie: „Mamo! mamo!”

Głos jednak widocznie nie dochodził do uszu matki.

— Co się stało z tobą? czyś oszalał? — pyta zbliżający się do mnie starzec.

Znowu nic nie odpowiedziałem, wzywając nieustannie pomocy matki. Witalis spojrzał na miejsce, gdzie miałem wzrok utkwiony i zrozumiał zapewne o co mi chodzi, bo szepnął łagodnie:

— Biedne dziecko.

Ośmielony, okazanem mi współczuciem, złożyłem ręce, jak do modlitwy i rzekłem:

— Dobry, miłosierny panie, pozwól mi powrócić do domu!...

— Dobrze — odrzekł poważnie — ale pomyśl, jak cię tam przyjmie twój przybrany ojciec. Nie chcę uprowadzać cię gwałtem, ale trzeba, żebyś się zastanowił nad tem, że przybrani rodzice nie mogą cię już utrzymywać; w każdym więc razie musisz rozstać się z matką i iść między obcych ludzi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZAGADKI.

Szarada.

Pierwsze w męczyzn zalety
Zalicza się konieczne,
A zaś drugie i trzecie
Wylicza się na grzbiecie
Wszystkiemu — co niegrzeczne,
Choć z pierwszego — niestety!

ZAGADKA

Czasem skaczę, czasem pływam,
Dziwnym głosem się odzywam,
A gdy zimny czas wypadnie,
Siedzę w mule, w wodzie na dnie.

ŁAMIGŁÓWKA.

Z następujących sylab ułożyć 18 wyrazów, których początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół, utworzą przysłowia polskie.

Sylaby: gła, da, gro, me, re cent, me, ka, piec, czyj, zo, a, a, a, za, a, ra, u, po, be, ry, stral, rja rak fja, lotr, lhp, sa, ry, chło, i, czyk, te, skop, fał, le, c, ryt, i na, ty, ka, na, sy, ra.

ZNACZENIE WYRAZÓW.

1. Zaimek pytający.
2. Imię żeńskie.
3. Trunek.
4. Pustynia w Afryce.
5. Zwierzę morskie.
6. Nazwa uwłaczająca.
7. Część świata.
8. Mały mężczyzna.
9. Przyrząd do szycia.
10. Nazwa drobnej monety.
11. Mieszkanie rolnika.
12. Człowiek zamieszkujący Australję.
13. Posiadłość rosyjska.
14. Narzędzie astronomiczne.
15. Imię męskie.
16. Nauka.
17. Spółgłoska.
18. Imię żeńskie.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NR. 43.

Szarada: Latarka.

Łamigłówka: Grochów — Domingo.

Zagadka: palec, walec, malec.

Z NASZEJ KORESPONDENCYI.

Milwaukee, Wis.

Kochany Przyjacielu!

Muszę się podzielić z drogim Przyjacielem tą radosną wiadomością że w naszej szkole św. Kazimierza zostało zaprowadzone pismo „Macierz Polska”. Dzieci powitały to pismo z bardzo wielką radością, nie mogły się doczekać, kiedy też pierwszy numer przyjdzie, a gdy go nareszcie dostały, to nie było końca pytań i wykrzyknikom. Miały się też czem cieszyć, bo znalazły rozmaite powiastki i opisy o różnych, ciekawych rzeczach. Spodziewam się, że przez czytanie „Macierzy” nabędziemy wiele pożytecznych wiadomości. W naszej szkole dużo dzieci pobiera to pismo z wielką ochotą, a jeden chłopiec z naszej klasy, powiedział, że gdyby nie mógł dostać centów na to pisemko, to by zbierał i sprzedawał szmaty, aby sobie wciągnąć trzy centy na tydzień. Nie myślisz, kochany Przyjacielu, że to dobry chłopczyk? Życząc, aby Macierz Polska miała jak najwięcej małych czytelników i czytelniczek, pozostaję

Z pozdrowieniem

Marylka Megierowna.

Milwaukee Wis.

Drogi Przyjacielu!

Nigdy jeszcze nie pisałam listu do innego miasta; dopiero teraz przeczytawszy liścik „Lilijki” chicagowskiej, ośmieliłam się też skreślić słów kilka i podzielić się też z innemi dziećmi miłą wiadomością.

Zeszłej niedzieli, to jest 29 października, odbyła się na północnej stronie naszego miasta uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod nowy kościół Matki Boskiej Częstochowskiej. Poświęcenia dokonał Prze w.k.s. Jacek Cuiński w asystencji Wiel. ks. Lipińskiego jako subdyakona i Wiel. ks. Kalczyńskiego jako dyakona. Kazanie prześlizne wygłosił ks. Celichowski z sąsiedniej parafii. W tej uroczystości wzięło udział bardzo wielu polskich księży. Towarzystwa z parafii św. Kazimierza i św. Jadwigi przyczyniły się bardzo do upiększenia tej uroczystości. Były także dwie kapele, a przy dźwięku ich muzyki, pochód na miejsce no-

wo budującego się kościoła wyglądał bardzo pięknie.

Parafianie starają się bardzo o jak najprędze wykończenie budynku, bo nasza szkoła jest za mała, a w każdej klasie jest więcej dzieci, niż jest przeznaczonych na ten kurs.

Czas mi zakończyć, bo jeszcze muszę wyuczyć się lekcji na jutro. Na przyszły raz napiszę co o naszej klasie a tymczasem pozdrawiam Kochanego Przyjaciela i wszystkich czytelników i czytelniczki Macierzy Polskiej, i zostaje

Z uszanowaniem

Kasia Wutkowska

ze szkoły św. Kazimierza.

Drogi Przyjacielu!

Dni przeznaczone na wakacje spędziłam nie bardzo przyjemnie.

Otóż posłuchaj, drogi przyjacielu, jaki naszą rodzinę smutek spotkał. Moja ukochana ciocia ciężko zaniemogła i dnia 12 czerwca Pan Bóg powołał jej duszę do Siebie. I z tego powodu nie mogłam odjechać na wakacje. A teraz o szkole: ponieważ bardzo wiele dzieci uczęszcza do naszej szkoły i nie mogły się pomieścić w jednej połówce szkoły, Przew. O. S. Rogalski kazał pobudować drugą połówkę, w której będzie 16 klas. Ja jestem w 4 klasie u Siostry M. Iwany.

Ptaszek.

uczennica ze szkoły św. Jana Kantego, Chicago, Ill.

ODPOWIEDZI.

Ptaszkowi, ze szkoły św. Jana K. w Chic. Biedny ptaszku, spotkało cię nieszczęście, utraciłaś cioteczkę, wola Boża jednak w tem jest, nie smuć się więc, lecz pamiętaj o duszy zmarłej ciotki. W tym celu odmawiaj sobie jaką modlitwę, a lepiej jeszcze staraj się, kochany Ptaszku, być zawsze dobrą, bo tem sprawiasz wszystkim największą przyjemność.

Marylce Megierow. w Milwaukee. Miły i serdeczny twój listek, Marylko, sprawił „Przyjacielowi” wielką przyjemność. Cieszy on się z tego, że z taką radością dzieci w waszej szkole przyjęły „Macierz Polskę”. Prawdziwie był wzruszony, gdy przeczytał o tym chłopczyku, co chce nawet szmatki zbierać, byle mógł mieć na Macierz P. dzielną i dobrego chłopca. Prawda, że każda praca ucziwa nie ubliża nikomu, „Przyjaciel” atoli radzi swoim czytelnikom postępować w ten sposób: dostajecie codziennie od rodziców na ciastka i cukierki, żadne z was nie umrze, jeżeli z tych centów, przeznaczonych na karmelki, codziennie odłożycie sobie po 1c, w ten sposób z łatwością uzbieracie sobie na prenumeratę. Taniej wam wyjdzie prenumeratować miesięcznie, albo rocznie. Pisz Marylko, częściej.

Kasi Wutk. ze szk. św. Kazimierza. Miłw. Zapewne „Liłka” ucieszy się bardzo, gdy się dowie z twego listu, że to ona listkiem swoim ośmieliła cię do pisania „Przyjacielowi” myśli, że teraz już stałaś pisywać do niego i donosiła mu o różnych rzeczach, którą się dzieje w waszej szkole i w waszym mieście. Czy to tak trudno pisać do innego miasta?... „Przyjaciel” życzy wam szybkiego wykończenia szkoły, abyście miały wygodne klasy, pocieszcie się tem, że gdziekolwiek, np. w szkole św. Stanisława K. w Chic., dzieci jeszcze w gorszych są warunkach, bo z braku szkoły muszą się uczyć w kościele i w halach, gdzie ich się zbiera po kilka set!

Fiołkowi w Chic. Jan Mac. w Pittsburgu, Korespondentom z Whiting „Przyjaciel” dziękuje za listki, które z braku miejsca w tym numerze, ukażą się w następnym nr., w którym też zostanie ogłoszony rezultat konkursu z opisów obrazka.

Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacja łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patriotycznych i ratującej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r.

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30go czerwca, 1906 roku.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division Str.

Chicago, Illinois.

ZARZĄD GŁÓWNY:

Ks. Franciszek Gordon, C. R., Moderator; Julian Szczepański, Prezes; Agnieszka Nering, I Wice-prezeska; Maksymilian Brochocki, II Wice-prezes; Wincenty J. Jóźwiakowski, Sekretarz Główny; Władysław Sztanka, Skarbnik; Paweł P. Kucharzski, Dyrektor; Julian J. Nejman, Dyrektor; Feliks Augustynowicz, Dyrektor; Franciszek Siatkowski, I Marszałek; Jan Szpekowski, II Marszałek.

Ks. Feliks Ładoń, Redaktor; Dr. Bolesław Klarkowski, Lekarz Główny; Ludwik Jankowski, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; Teofil Gordon, Asystent Sekretarza Głównego; Ignacy Ciesielski, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. Piotrowski, Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza Głównego w Biurze Generalnem: W każdy wtorek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem; Skarbnika: W każdy poniedziałek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacyi otwarty co wieczór, od godziny 7-ej do 10-ej. W niedziele, od godziny 3-iej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko-katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 45 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą za porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcyi, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacyi

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnem złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznaki, za kwitariusz, za konstytucyę i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50 centów; 16: 60c; 17: 70c; 18: 80c; 19: 90c; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitariusz 10c. Konstytucya 10c. Odznaki dla mężczyzn \$1.00; Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c, assesment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci, obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mającą, na równi wydatku na pośmiertne, na każdego członka z dołączeniem jednego centa do każdego wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie wsparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki

W przypadku śmierci członka Macierzy Polska płaci spadkobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$500.00 biorąc jako podstawę w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacone assesmentu miesięczne.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce
założone w roku 1873.
PRENUMERATA ROCZNA \$2.

**Najstarsza Księgarnia Polska
w Ameryce**

zaopatrzona w książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi wysyłamy
darmo na żądanie.

**Najstarsza i największa Intro-
ligatorka Polska w Ameryce,**
wykonuje wszelkie prace w za-
kres introligatorski wchodzące.

Po wszelkie zamówienia pisać pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

**DZIENNIK
CHICAGOSKI**

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8m iu wielkich stronicach.

Podaje dziennie wszystkie wlad-
ności telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy
egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:
\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:
45c miesięcznie.
U roznosicieli egzemplarz 1c.

Pieniądze można przysyłać przez
Money Order lub w jednocento-
wych znaczkach pocztowych.

**Drukarnia
Dziennika Chicagoskiego**

wykonuje wszelkie prace w zakres
drukarski wchodzące, szybko,
gustownie i tanio.

**Księgarnia
Dziennika Chicagoskiego**

ma na składzie książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy
przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

Urzędowe zawiadomienie.**NADZWYCZAJNY PODATEK
NA POŚMIERTNE.**

Cyrkularz Nr. 29.

Na miesiąc listopad r. 1907 wy-
noszący 32 centy.

Donoszę niniejszem, że na mie-
siąc listopad roku 1907 przy-
pada podatek Nr. 29 na wszyst-
kich członków i członkinie Ma-
cierzy Polskiej, przyjętych do dn.
1-go sierpnia 1907 r., wynoszący
trzydzieści dwa centy, na po-
krycie niżej podanych wypadków
pośmiertnego:

Wypadek nr. 45 śp. Francisz-
ka Rumca Oddz. 9; suma \$500.00.

Zwracam uwagę, że nadzw-
yczajny podatek na pośmiertne ma
pierwszeństwo przed wszelkimi
innymi podatkami i musi być nie-
zwłocznie skolektowany i wpła-
cony do Kasy Głównej.

Z braterskiem pozdrowieniem
Winc. J. Jóźwiakowski,
Sekr. Główn. Macierzy Polskiej,
Chicago, dnia 20go paździer. '07.

**DO SZANOWNYCH PRENU-
MERATORÓW MACIERZY
POLSKIEJ.**

Administracja Macierzy Pol-
skiej uprasza Szanownych prenu-
meratorów do nadsyłania prenu-
meraty za „Macierz Polską”. Za-
rząd poczty ustalił nową regułę
zmuszając wydawców do wykre-
ślenia z liczby każdego czytelnika
który nie ma gazety opłaco-
nej z góry, dlatego upraszamy
o nadsyłanie takowej; w razie
przeciwym będziemy zmuszeni
każdego nieopłaconego prenu-
meratora wykreślić z listy.

Prenumeratę należy nadsyłać
pod adresem

Macierz Polska, 141-143 W.
Division str., Chicago, Ill.

PODAJCIE NOWE ADRESA.

Członkowie Macierzy Polskiej mają
niezwłocznie uwiadomić Administra-
cję Macierzy Polskiej o każdej zmia-
nie swego adresu, Inaczej nie będą o-
trzymywali „Macierzy” regularnie.

Zmianę adresu należy przesłać na
karcie pocztowej, podając dokładnie
imię i nazwisko, stary adres i nowy,
numer domu, ulicę i miasto, oraz do-
łączyć nazwisko Oddziału i numer
swej książeczki podatkowej. Kartkę
adresować:

MACIERZ POLSKA.

141—143 W. Division St. CHICAGO.

W aptece.

Uczeń aptekarski: Proszę pana, co
jest w tej flaszcze bez etykiety?

Prowizor: Cudowne lekarstwo, któ-
re wielu ludziom ocaliło życie. Daje
się je zawsze wtedy, gdy nie można
odczytać recepty.

Pryncypał zawsze jest pryncypałem.

Pewien pryncypał, w przystępie do-
brego humoru, zaprosił swego buchal-
tera na raki; spostrzegłszy jednak, że
buchalter nie ma najmniejszego wyo-
brażenia, jak się obchodzić z temi
garnkowodnymi zwierzętami, pryncy-
pał krzyknął oburzony:

— Panie Piórkiewicz! proszę lepiej
uważać i staranniej obierać, bo tak
jeść raki, jak pan jesz, to szkoda pie-
niędzy.

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorączką powiatrzem, Wibracją, Elektro-
magnetą, Masowaniem, Gimnastyką, Hydroterapią,
Sugestją, Kąpielami słowami i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030. Właściciel Zabud.

Fotografie!

Wykonujemy w naj-
nowszym stylu i naj-
modniejszych po-
zytywach. Słubne fotogra-
fie wykonujemy z wielką akuracją; nawet
w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy foto-
grafie pod gwarancją. Jedyna galeria, która po-
siada światło Rembleta. Ceny niższe dla grup,
towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret
wielkości 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko,
starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

NAGRODY

dla Członków i Członkiń pracujących nad powiększeniem szeregów Macierzy Polskiej.

NAGRODA PIERWSZA:

Za dziesięć nowych członków lub członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn).

Ten wspinały szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem „Hołd zasłudze” na przodzie, a nazwiskiem odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn).

Ten elegancki, szczerzoty medal z naszym godłem, w formie breloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym

na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba.

NAGRODA DRUGA:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Śliczny, szczerzoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na klapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

NAGRODA TRZECIA:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli gotówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

OGŁASZAJCIE SIĘ
W „MACIERZY POLSKIEJ”.

N. L. PIOTROWSKI
ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.
Ofis: 59 Clark ul., róg Randolpha
Pókoj 307, 3eie piętro. Tel. Central 608
Wieczorem 605 Noble ul. Tel. Monroe 942
Mieszek. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1884

1907 SEPTEMBER 1907

S	M	T	W	T	F	S
1	2	3	4	5	6	7
8	9	10	11	12	13	14

Good Clothes

THE ARMITAGE

MILWAUKEE & ARMITAGE AVES.

Telefon Monroe 1298.
JEŻELI CHCECIE
kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyc pieniędzy na budowę lub zakupno, to zgoście się do nas my wam najlepiej usłużymy

A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

JAN KOWALSKI,
agent ubezpieczenia od ognia członek
Fire Underwriters Association.
Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowanie i Dekorowanie
Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarskim wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład

INTROLIGATORSKI,
812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy książek, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to: książki biblioteczne, do nabożeństwa, naty, książki szkolne i t. d. po cenach umiarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA.

812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrzciny, i t. p.

818 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 945.

Otwarte w dzień i w nocy.